

ROBERT SEETHALER

*Cate
życie*

TŁUMACZENIE EWA KOCHANOWSKA



OTWARTE

KRAKÓW 2017

Trzy miesiące później Egger siedział na pniaku dokładnie w tym samym miejscu i przyglądał się, jak wlot do doliny przesłoniła żółtawa chmura pyłu, z której wnet wyłoniła się złożona z dwustu sześćdziesięciu robotników, dwunastu techników, czterech inżynierów, siedmiu włoskich kucharek oraz niewielkiej liczby bliżej nieokreślonych pomocników ekipa budowlana firmy Bittermann i Synowie i zbliżała się ku wiosce. Z daleka cała gromada wyglądała jak ogromne stado bydła, tylko mrużąc oczy, dało się rozpoznać tu i ówdzie wyciągnięte wysoko ramię czy kilof spoczywający na barkach. Ekipa stanowiła jedynie straż przednią kolumny ciężkich, wyładowanych maszynami, narzędziami, stalowymi dźwigarami, cementem i innymi materiałami budowlanymi

furmanek i samochodów ciężarowych, która w powolnym tempie poruszała się po nieutwardzonej drodze. Pierwszy raz w dolinie rozbrzmiewał głuchy terkot silników Diesla. Miejscowi stali w milczeniu na skraju drogi, póki stary stajenny Joseph Malitzer nie zerwał nagle filcowego kapelusza z głowy i z entuzjastycznym okrzykiem nie rzucił go wysoko w powietrze. Wtedy pozostali również zaczęli wznosić radosne okrzyki, wiwatować i wrzeszczeć. Od tygodni czekali na przyjsie wiosny oraz przybycie wraz z nią ekipy budowlanej. Miała zbudować kolej linową. Napędzaną stałym prądem elektrycznym napowietrzną kolej linową, której błękitnymi, drewnianymi wagonikami ludzie będą wjeżdżać na górę i napawać się panoramą całej doliny. To było potężne przedsięwzięcie. Na długości prawie dwóch tysięcy metrów niebo miały przeciąć stalowe liny, grube na dwadzieścia pięć milimetrów i splecione ze sobą niczym żmije zygzakowate podczas godów. Trzeba było pokonać różnicę wzniesień tysiąca trzystu metrów, trzeba było przerzucić mosty nad wąwozami i wysadzić w powietrze skalne nawisy. Wraz z koleją do doliny miała przybyć elektryczność. Elektryczny prąd miał popłynąć brzęczącymi przewodami, a drogi i domy, i budynki gospodarcze miały również nocą jaśnieć w ciepłym świetle. O tym właśnie i o wielu jeszcze innych

rzeczach myśleli ludzie, gdy rzucali w powietrze kapelusze, a ich radosne okrzyki przeszywały czyste powietrze. Egger chętnie dzieliłby z nimi tę radość, ale z jakiegoś powodu siedział dalej na swoim pniaku. Czuł się przygnębiony, choć nie wiedział dlaczego. Być może miało to coś wspólnego z terkotem silników, z hałasem, jaki raptem wypełnił dolinę i nikt nie wiedział, kiedy zniknie. Ani czy w ogóle zniknie kiedykolwiek. Egger siedział tak jeszcze przez chwilę, ale wreszcie nie wytrzymał. Poderwał się z miejsca, popędził na dół, dołączył do innych ludzi na skraju drogi i krzyczał, i wiwatował z całej siły.

*

Jako dziecko Andreas Egger nigdy nie krzyczał i nie wiwatował. Aż do czasu pójścia do szkoły nawet porządnie nie mówił. Z trudem uzbierał garść słów, które w rzadkich momentach recytował w dowolnej kolejności. Mówienie oznaczało skupienie na sobie uwagi, a to z kolei nie wróżyło niczego dobrego. Gdy latem tysiąc dziewięćset drugiego roku ktoś zdjął go, małego chłopca, z furmanki, którą przywieziony został z dalekiego miasta po tamtej stronie gór, stał po prostu niemo i wpatrywał się wielkimi oczami w połyskujące bielą górskie szczyty. Mógł mieć wtedy ze

cztery lata, a może był trochę młodszy lub trochę starszy. Nikt tego dokładnie nie wiedział i nikogo to nie interesowało. W ogóle zaś nie zaprzętało to uwagi Huberta Kranzstockera, bogatego bauera, który z niechęcią odebrał małego Eggera i wetknął woźnicy dwa grosze nędznego napiwku i twardą piętękę chleba. Malec był jedynym dzieckiem jednej z jego bratowych, która prowadziła niefrasobliwe życie i za to dobry Bóg pokarał ją nie tak dawno suchotami i wezwał do siebie. Tak czy owak chłopiec na szyi miał skórzany woreczek z paroma banknotami. To był dla Kranzstockera wystarczający argument, żeby z miejsca nie posłać dzieciaka do diabła albo nie posadzić proboszczowi pod drzwiami kościoła, co jego zdaniem wychodziło mniej więcej na to samo. W każdym razie Egger stał oto tutaj i dziwował się górom. Tylko ten obraz zapamiętał ze swego wczesnego dzieciństwa, zachował go na całe życie. Wspomnienia z czasów przed nim, jak również z czasów po nim nie istniały, pierwsze lata spędzone w gospodarstwie Kranzstockera rozwiały się gdzieś we mgle przeszłości.

W kolejnym wspomnieniu widział siebie jako mniej więcej ośmiolatka, gdy wisiał, nagi i chudziutki, przewieszony przez dyszel wolego sprzężaju. Nogi i głowa dyndały mu tuż nad ziemią, śmierzdzącą końskimi szczynami, a jego mały, biały tyłek wypinał

się w zimowe powietrze i odbierał od Kranzstockera chłostę leszczynową różgą. Bauer jak zwykle wymoczył różgę w wodzie, by nabrała giętkości. Teraz z raptownym, wysokim świstem cięła powietrze, lądując niby z westchnieniem na siedzeniu Eggera. Egger nigdy nie krzyczał, co wzmagало tylko siłę razów gospodarza. Mężczyzna został ukształtowany i zahartowany Bożą ręką, by ziemię i wszystko, co się na niej porusza, czynił sobie poddanym. Mężczyzna czyni wolę Bożą i głosi słowo Boże. Mężczyzna stwarza życie siłą swych łędźwi i odbiera życie siłą swych rąk. Mężczyzna jest ciałem i jest ziemią, i jest bauerem, i nazywa się Hubert Kranzstocker. Gdy mu się tak spodoba, przekopuje swe pole, zarzuca dorodną świnie na ramiona, powołuje dziecko na świat lub przewiesza inne przez dyszel sprzężaju, bo on jest mężczyzną i słowem, i czynem.

– Przebacz mi, Panie – mówił Kranzstocker i chłostał różgą. – Przebacz mi, Panie.

Powodów do bicia było dosyć: rozlane mleko, spleśniały chleb, zgubiona krowa czy wyjąkany wieczorny pacierz. Pewnego razu czy to bauer wyciął różgę zbyt grubą, czy zapomniał ją namoczyć, czy też może uderzył z większą furią niż zwykle, trudno tak dokładnie powiedzieć, w każdym razie zaczął lać i w którymś momencie coś głośno trzasnęło w małym ciałku,

Robert Seethaler

a chłopczyk znieruchomiał. „Przebacz mi, Panie”,
powiedział Kranzstocker i zaskoczony opuścił różgę.